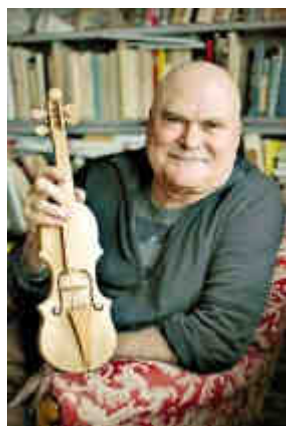


Kolberg – nowe zjawisko – rozmowa z prof. Andrzejem Bieńkowskim

<http://www.przegląd-tygodnik.pl/pl/artykul/kolberg-nowe-zjawisko-rozmowa-prof-andrzejem-bienkowskim>

Napisał(a): Małgorzata Kąkiel w wydaniu [7/2014](#).



Fot. K. Żuczkowski

– No to, panie profesorze, zrobimy wiochę, bo jak dwoje czereśniaków, kmiotków małorolnych będziemy rozmawiać o ludowej kulturze – tak zaczyna się rozmowa Małgorzaty Kąkiel z prof. Andrzejem Bieńkowskim, malarzem, etnografem z warszawskiej ASP, który prowadzi projekt „Muzyka Odnaleziona”, odnajdując piękno wiejskiej muzyki. Złożony stosunek do wsi i jej kultury możemy teraz zobaczyć na własne oczy. Sejm na wniosek ministra kultury patronem roku 2014 zrobił Oskara Kolberga. I od razu rozległy się głosy, że Kolberg nikogo dziś nie obchodzi. Prof. Bieńkowski stanowczo temu zaprzecza: – Urosło pokolenie młodych ludzi, którzy na podstawie zapisów Kolberga próbują odtworzyć muzykę i śpiew. Tamte, autentyczne. Dla nich Kolberg jest nie tylko wielkim uczonym, on im pozwala dotknąć przeszłości. Na potańcówki coraz częściej przychodzą chłopaki ze wsi i nie mogą się nadziwić, że laseczki z miasta tańczą oberka, a nie idą do dyskoteki.

Urosło pokolenie młodych ludzi, którzy na podstawie zapisów Oskara Kolberga próbują odtworzyć muzykę i śpiew

prof. Andrzej Bieńkowski – malarz, etnograf, profesor na Wydziale Wzornictwa warszawskiej ASP, prowadzi projekt „Muzyka Odnaleziona”, autor książek, m.in. „Sprzedana muzyka”, „1000 kilometrów muzyki. Warszawa-Kijów”, publikacji z serii „Muzyka Odnaleziona” oraz niedawno wznovionych „Ostatnich wiejskich muzykantów”.

Rozmawia Małgorzata Kąkiel

No to, panie profesorze, zrobimy wiochę, bo jak dwoje czereśniaków, kmiotków małorolnych będziemy rozmawiać o ludowej kulturze. Skąd tyle pogardy wobec wsi, tyle pełnego wyższości lekceważenia?

– To jeszcze dziedzictwo pańszczyzny. W Polsce w sensie prawnym do 1864 r., a w sensie politycznym do I wojny, chłopci byli niewolnikami. I cała nasza kultura została zdominowana przez etos szlachecki. Pogardliwy stosunek jaśnie panów do chamów przetrwał nienaruszony. Te podziały są niewiarygodnie głębokie. W końcu lat 80. prowadziłem badania pod Grójcem i widziałem mecz parobków z grójczanami. O co chodziło? Razem się uczyli, nie różnili się znacząco poziomem materialnym, ale jedni wywodzili się z podworskich czworaków, a drudzy pochodzili z miasta – i ci byli lepsi.

Przecież po wojnie wieś ruszyła do miasta i to chłopci zdominowali powojenne elity. I co, wstydzą się swoich korzeni, udają, że wszyscy wywodzą się z dworaków?

– To bardziej skomplikowane. Przedwojenne elity przetrwały, no, może specyficzna sytuacja jest w Warszawie, bo tu zrobiono wszystko, żeby swoje elity wymordować w powstaniu, jednak elity mają przedwojenne korzenie. To inteligencja polska albo żydowska bądź arystokracja; ci utrzymują ze sobą silne więzi – pozamaterialne. Druga sprawa to awans społeczny. Po wojnie wieś stanęła przed ogromną szansą – ruszyły wielkie budowy socjalizmu i najaktywniejsza młodzież wyjeżdżała, korzystała z tego. Za wszelką cenę starała się już na biedną wieś nie wracać. Jeśli ludzie ci wracali, to na urlop i biła od nich pogarda do rodziców czy tych chłopaków, co zapieprzali w gnoju, kiedy oni wytapiali surówkę. To samo dotyczyło awansu w resortach siłowych. Szli, często prosto z lasu, do SB, dostawali mieszkanie, kończyli jakieś kursy, no i chcieli za wszelką cenę okazać się lepsi. Zacierali wszystkie ślady swojego pochodzenia. Zresztą to dotyczy i okresu późniejszego. W badaniach, które kilkanaście lat temu prowadził Ireneusz Krzemiński wśród młodzieży akademickiej, na pytanie, skąd pochodzisz, podawano jako odpowiedź nazwę najbliższego miasta. Nie padała nazwa wsi.

Świat jednak się zmienia. Pokorny, zagubiony chłop na progu urzędu czy gabinetu lekarskiego już się nie pojawia.

– No, czapki w rękę już nie mnie. Ten proces jest powolny, ale nieunikniony. Obserwuję to na wszystkich frontach. Nawet u mnie, na tak elitarną dotąd uczelnię jak warszawska ASP. Do niedawna nie było tam chyba nikogo z tzw. prowincji, a teraz pojawia się coraz więcej studentów z małych miejscowości. Rodzice żyły sobie wypruwają, żeby wykształcić dzieci. Choć, paradoksalnie, najwięcej osób z biednych rodzin jest na uczelniach prywatnych, bo tam mogą od razu się dostać.

Złożony stosunek do wsi i jej kultury możemy właśnie zobaczyć na własne oczy. Sejm na wniosek ministra kultury patronem roku 2014 zrobił Oskara Kolberga. I od razu doszły mnie głosy z intelektualnych salonów, że to taka wydmuszka, nikogo dziś Kolberg i jego działanie nie obchodzi. Nie to, co drugi bohater roku – Jan Karski.

– Wie pani, co jest miernikiem wielkości Kolberga? Sto lat po jego urodzinach, w 1990 r., jego dzieła zalegały w antykwariatach – sam wtedy skompletowałem ileś tomów. Teraz widzę, jak na Allegro skoczyły ceny za te książki. Co się okazało? Urosło pokolenie młodych ludzi, którzy na podstawie jego zapisów próbują odtworzyć muzykę i śpiew. Tamte, autentyczne. Dla nich Kolberg jest nie tylko wielkim uczonym – kto wie, czy nie największym antropologiem kultury w skali światowej – on im pozwala dotknąć przeszłości. Kolberg jest nowym zjawiskiem. Nie chodzi tylko o to, czym się zajmował, ale jak. O metodologię naukową.

Nigdy chyba nie był rozpieszczany?

– Był traktowany fatalnie! Szczególnie przez te środowiska, które za boga uważały Bronisława Malinowskiego, bo oczywiście łatwiej badać Wyspy Trobriandzkie niż Grójec czy Wołomin. Ten lekceważący ton... Kilka lat temu chodziłem jeszcze na rozmaite sympozja – teraz nie chodzę, bo to jałowe – i pianę toczyłem, gdy słyszałem ciągłe zarzuty wobec Kolberga.

O co?

– Och, tego czy tamtego nie opisał. A pan to opisał? – pytałem. Bo jeszcze można to zrobić, a nie występować z pretensjami do Kolberga. Jak w ogóle zestawiać tak wielką postać jak Kolberg z Janem Karskim czy św. Janem z Dukli (trzecim patronem tego roku)? Jan Karski był wspaiałym, szlachetnym, odważnym człowiekiem, ale jednym z wielu kurierów. Poprzez niego próbujemy teraz ugrać własne nierozliczenie z Holokaustem. A św. Janowi z Dukli dajmy w ogóle spokój. Kolberg jest jedną z tych osób, które jak Mickiewicz, Krasiński czy Chopin budują nasz etos narodowy!

Ale Ludwik Stomma zarzucił mu w felietonie w „Polityce” nazbyt prostą i łatwą metodę etnograficzną. Przyjeżdżał do dworu, dziedzic sprowadzał przed jego oblicze jeszcze niewybatzonego chłopca i Kolberg przy węgryźnie spisywał radosne piosenki.

– No nie! To oczywiście prawda, ale co, miał jeździć z kamerą wideo? Mieliśmy naród niewolników, żyjących w kurnych chatkach, pracujących sześć-siedem dni w tygodniu, biednych, zahukanych i nieufnych. Zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę Ukrainę, Białoruś, Litwę (tak na marginesie dla mnie Kolberg jest prekursorem nauki europejskiej, przekraczał granice narodów). Jak więc miał do nich dotrzeć? Musiał korzystać z pomocy dworów. Nawet fizycznie nie byłby w stanie zapisać wszystkich transkrypcji. Bo jego pionierstwo polegało na tym, że

spisywał nie tylko słowa, ale i muzykę! A ta muzyka nie jest możliwa do zapisania ot tak, bo jest grana w skalach nietemperowanych. On musiał to transkrybować na skale temperowane. I co? Miał jeździć po tysiącach chałup i tam zapisywać, gdy nawet nie było gdzie się przespąć?

Czyli dwór był mu potrzebny nie tylko dla wygody, ale też do pracy?

– Na tym właśnie polegał jego nowoczesny sposób badania. Kolberg zorganizował wspólne działanie. Tak jak teraz najwybitniejsi uczeni uruchamiają sprzężenie sieci prywatnych komputerów, żeby osiągnąć potężną moc obliczeniową np. dla sond kosmicznych, on korzystał z pomocy panien i kawalerów, którzy znali nuty i robili transkrypcje.

O pracy Kolberga dużo chyba mówią jego listy?

– Jedna z zawartych tam opowieści mówi właściwie wszystko komuś, kto się zajmuje kulturą wsi. Otóż jedzie on gdzieś z przyjacielem – to chyba nawet Polesie – idą do karczmy, żeby zasięgnąć języka (ja dziś chodzę do sklepu i pytam, kto gdzie śpiewa). No więc idą do karczmy, tam przychodzą dziewczyny, które wracają z targu, zaczynają coś sobie nucić. Po pewnym czasie mężczyźni je proszą – jakiś rubel pomógł na nieśmiałość – o weselne przyśpiewki. Kolberg zaczyna notować, a tu wstają chłopci, podchodzą i pytają: co to za śpiewanie? Jest wesele? Nie ma. To jakim prawem?

Bo to sztuka użytkowa, tak? Tylko w określonych sytuacjach?

– Tak. Ale to też mówi o skali trudności dotarcia do chłopów. I druga historia opisana w listach. Rzecz się dzieje znowu w karczmie, chyba w Czersku. Kolberg z towarzyszem dosiadają się, podpytują: a gdzie tu wesele? A kto najlepiej śpiewa? U kogo? A gdzie dziewczostki? W miarę rozmowy chłopci tężeją...

Szpiedzy przyszli.

– Oczywiście. I chłopcy biegiem na posterunek. Przyszli żandarmi, związali Kolberga i jego kumpla i do kozy. Posiedzieli, zanim się wyjaśniło.

Dla żandarmów to podejrzany element, burzyciele.

– Nie bez powodu Kolberg pod koniec życia przeniósł się do zaboru austriackiego.

Kolberg dokonał zatem czegoś wielkiego, ale czy jego dzieło jest nam dzisiaj potrzebne, czy ma wyłącznie wartość historyczną?

– Jak powiedziałem, coraz więcej ludzi gra tę czystą muzykę ludową. To ruch, któremu wraz z żoną matkuję. Wydajemy ich płyty, wspieramy. Do akcji włączyło się Radiowe Centrum Kultury Ludowej Programu II PR. Powstaje sieć domów tańca, która już zrzesza kilka tysięcy osób.

Co to są te domy tańca?

– To wynalazek Béli Bartóka. Po rozpadzie Austro-Węgier wspólnie z Zoltánem Kodályem – przerażeni degradacją etnicznej muzyki, zdominowanej przez knajpowo-cygańskie melodie, takie czardaszowe – zaczęli jeździć po kraju i w Siedmiogrodzie znaleźli jeszcze ostańce, wyspy autentycznej ludowej muzyki. Stworzyli Dom Tańca, gdzie zaczęto grać taką muzykę. Z tego zrodził się ruch ogólnoeuropejski. Domy tańca powstały też w Skandynawii, Niemczech, na Słowacji.

Dużo mamy takich domów?

– Od 15 lat powstaje ich coraz więcej. Co tydzień można tam posłuchać ludowej muzyki, zobaczyć, jak się tańczy – polkę, chodzonego, oberka, mazurka. Zaprasza się autentyczne kapele wiejskie, grają też ci młodzi ludzie, którzy rekonstruują muzykę wiejską, i są w tym świetni. Jest też ruch taborów. Latem na wsiach, gdzie jeszcze się żyje tradycja, gdzie żyje jeszcze skrzypek czy miejscowa śpiewaczka, spotykają się na tydzień ludzie (przyjezdni i miejscowi) i prowadzi się warsztaty gry na skrzypcach, bębnienia, basowania. Każdy wieczór kończy się tańcami.

A młodzież jest wiejska czy miejska?

– Miejska, chociaż coraz częściej przychodzą chłopaki ze wsi i nie mogą się nadziwić, że takie laseczki z miasta tańczą oberka, a nie idą obok do dyskoteki. No i one zaczynają ich uczyć tego oberka. Pamiętam, jak robiliśmy kiedyś z żoną prywatny festiwal w Potworowie. W miejscowej knajpie przygotowaliśmy wystawę, na ekranie leciały filmy etnograficzne. Po drugiej stronie drogi była akurat estrada, a na niej występował zespół Toples. Właściciel tej knajpy mówi: Panie, kto do was przyjdzie? Wszyscy tam pójdą. I wie pani? Przyszło setki osób.

Do was?

– Tak. To było niesamowite. Zablokowali ruch uliczny, zaczęli tańczyć. A niedawno Tadeusz Jedynek, skrzypek z Radomskiego, kończył 90 lat. Jego uczniowie postanowili zorganizować mu na urodziny koncert w remizie. Ja zmontowałem film z materiałów archiwalnych i pojechaliśmy tam z żoną. Byli uczniowie z Warszawy, Poznania, Lublina i tłum ludzi z okolic. Do czwartej rano tańczono, a pan Tadeusz zagrał na skrzypcach. To wszystko, o czym mówię, to nowe, ważne sygnały.

A co pana, warszawskiego malarza, wyгнаło ponad 30 lat temu na wieś i kazało zainteresować się tradycyjną kulturą?

– Uroda tej muzyki. Wywodzę się z domu, gdzie dużo się grało i słuchało muzyki. Mój ojciec był ze wsi. A ja do tego lubię wszelkich dziwaków, odlotowców. I podczas moich włóczęg po plenerach zetknąłem się z wiejskimi muzykantami. Wypiliśmy pół litra, pogadaliśmy. Któryś wziął skrzypce, zagrał i

oniemiałem. Nigdy takiej muzyki nie słyszałem. Bo do połowy epoki Gierka radio nie nadawało tego typu muzyki. To nie był zakaz złej PRL-owskiej władzy, która tak strasznie nas męczyła i męczyła, jak teraz mówi IPN. To był radosny pomysł muzykologów, naukowców z PAN.

Żeby nie psuć poziomu? Ale sama pamiętam, jak słuchałam w radiu kapeli Feliksa Dzierżanowskiego.

– I Edwarda Ciukszy, i Śląska, i Mazowsza. Ale nie autentycznych grajków.

Ciągle pogarda wobec wsi?

– Zaraz pani powiem, na czym to polegało. Gdy zacząłem interesować się bliżej tą muzyką, byłem asystentem na ASP. Niewiele zarabiałem, a potrzebne były dobry magnetofon, aparat fotograficzny. Wszystko za dolary. Na szczęście sprzedawałem obrazy w Szwajcarii, no i dałem radę.

Była już w panu zajadła pasja?

– Dobrze nazwane. Olśniła mnie uroda tej muzyki. A ponieważ jestem impulsywny, wpadałem w złość, widząc, że tak wspaniałe granie nikogo nie obchodzi, ginie, bo nie ma następców. Że w ciszy pozwalamy zdechnąć tej kulturze. Wtedy z grupą przyjaciół tworzyliśmy elitę malarską swojego pokolenia. Byli tam Ewa Kuryluk, Łukasz Korolkiewicz, Tomek Ciecierski, Andrzej Bielawski – dzisiaj artyści wielkiej wagi dla kultury polskiej. Gdy próbowałem im serwować coś z tej muzyki, oganiali się: Oj, stary, przestań z tym „łoj diridi”. I ten stosunek do wsi mnie uderzył. Przez mój rodzinny dom przewinęło się wielu muzyków, zaprzyjaźniony z rodzicami był Witold Lutosławski. Byłem pełen uwielbienia dla niego i jego muzyki. Pięknego, wielkiego człowieka. No i wielkiej muzyki. Chodziłem na warszawskie jesienie, słuchałem progresywnego rocka – zwłaszcza Jimiego Hendriksa. I kiedy usłyszałem wiejskich muzykantów, ani oni, ani ich muzyka niczym się dla mnie nie różnili.

Jak się domyślam, różniło to pana od muzykologów?

– Kiedyś, gdy prosiłem jednego z najwybitniejszych znawców o konsultację, powiedział, żebym się tak nie ekscytował, bo muzyka ludowa jest nawozem, na którym dopiero wyrośnie właściwa sztuka. Takie stanowisko niezwykle skutecznie zniechęcało młodych do wiejskiej tradycji.

Dlaczego przeniósł się pan z badaniami na Ukrainę i Białoruś?

– Posuwaliśmy się w badaniach od Łodzi ku wschodowi i doszliśmy na terenie Lubelszczyzny i Zamojszczyzny do granicy. Tam wyszedł problem mniejszości, a niekiedy chyba nawet większości, której po dokonaniu przez nas czystek etnicznych (tak, tak, nie zawsze byliśmy krystaliczni) zakazaliśmy – to znaczy tym, którzy pozostali – śpiewać po ukraińsku. I to nie tylko w PRL. Pamiętam, jak w karnawale „Solidarności”, w 1981 r., byliśmy na festiwalu w Kazimierzu.

Zgadałem się tam z paniami z zespołu z Zamojskiego, że śpiewały po ukraińsku, ale teraz musiały przetłumaczyć piosenki na polski i nie zawsze to się im zgadza z melodią. Namówiłem je, żeby gdzieś nad Wisłą zaśpiewały mi po ukraińsku. Długo się wahały. Poszliśmy, zaczęły śpiewać, a tu nagle pojawia się na spacerze, już z daleka oburzona, pani z jury – znaczek „Solidarności”, Matka Boska z Wałęsą w klapie – obok bardzo znany naukowiec i mówią: A co wy tu śpiewacie? Tu jest Polska, tu się mówi po polsku! Właśnie takie mechanizmy myślenia są w nas. A czemu potem jeździłem po Ukrainie i Białorusi? Bo tam zostało dużo materiału do udokumentowania.

Panie profesorze, czy instytucje państwowe mogłyby jeszcze, w ostatniej chwili, ocalić tę tradycyjną kulturę od zapomnienia?

– Tak. Są gotowe modele: słowackie, rumuńskie, węgierskie, gdzie muzyka ludowa jest potęgą. Trzeba stworzyć szkoły tradycyjnej gry. Kiedy u nas stworzono Katedrę Tradycyjnej Gry, to uczą tam folkowcy. Na Węgrzech uczą więcej skrzypkowie, a w Rumunii cymbaliści. Istnieje silne środowisko, które walczy o instytucjonalną pomoc, np. Forum Muzyki Tradycyjnej Janusza Prusinowskiego. Proszę zobaczyć, Włosi mają jako dobro narodowe tarantelę, Niemcy – tańce bawarskie, a my nie byliśmy w stanie zgłosić mazurka, żeby stał się dobrem narodowym.

Wszystko przed nami.

– Jestem optymistą. Sprawdzają się zresztą moje prognozy. Większość uważała, że wstąpienie do Unii Europejskiej spowoduje odwrócenie się od wartości ludowych, a ja zapowiadałem odwrotny proces – że przez wejście do Europy poczujemy się dowartościowani i zaczniemy w sobie szukać naszych wartości. I tak się dzieje. A w kulturze pewne rzeczy trzeba wydeptać, wywalczyć.

Małgorzata Kąkiel